Nr. 23. Warszawa, dnia 24 Maja (5 Czerwca) 1872 roku. ROK VIII.

Seryja trzecia.

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:
roczuie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni G. Centnerszwera ul. Marszałkowska Nr. 73; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Swiat Nr. 30 (nowy).

TREŚĆ.—Sprawy dziecinne, przez Al. G.—Druga miłość. powieść Julii Kavanagh tłumaczenie W· Bartkiewicza, (Ciąg dalszy). — Gawędy popularno-naukowe. Oko i mikroskop, podług Schleidena, napisał Edmund Jankowski. (Ciąg dalszy). — Na co najwięcej należy zwracać uwagę przy wyższem kształceniu kobiet? D-ra Karola Piltza, tłumaczyła Jadwiga. (Dokończenie).—Zapiski z podróży po Europie. J. Gordona (Ciąg dalszy). — Biblijoteka domowa. — Zagadnienia. — Odpowiedzi od Redakcyi. — W odcinku Ślady życia. IX. — W dodatku: Margraf Gero. Tragedyja przez Józefa z Mazowsza(Ciąg dalszy).

SPRAWY DZIECINNE.

II.

W 19 numerze Opiekuna mówiliśmy o niektórych wadach wieku dziecinnego i o metodzie jakiej do usunięcia ich używać należy; w artykule zaś niniejszym zbadamy metodę zaszczepiania w dziecku dobrych *nałogów i zasad moralnych.*

Nałogiem nazywamy psychiczną podstawę czynności, które w skutek częstego powtarzania spełniamy prawie bez namysłu; zasada moralna jest to pewne zdanie ogólne, określające w jaki sposób jednostka winna się zachowywać względem swojego otoczenia, jeżeli chce być użyteczną. Fakta, odpowiadające dwom tak na pozór różnym pojęciom jak nałóg i zasada, automatyzm i zdanie ogólne, w życiu każdego człowieka najściślej łączą się z sobą: zasady bowiem, stanowiące fundament wszystkich planów, które z rozwagą nakreślamy, wspierają się po większéj części na nałogach i odwrotnie, zasada początkowo z nałogami niezgodna, początkowo na samém rozumowaniu oparta, z czasem na skutek ciągłéj wprawy, zakorzenia się w duszy i w nałóg przechodzi.

O człowieku wtedy tylko powiedzieć można, że ma charakter, kiedy między jego zasadami i nałogami doskonała panuje harmonija; na nieszczęście nie wielu jednak podobnych ludzi naliczymy, a na odwrót bardzo wielu jest takich, których czyny już nie tylko z mową ale nawet z ich własnemi przekonaniami w rażącej zostają sprzeczności. Pochodzi to stąd, że ogół rodziców nie zwraca dostatecznej uwagi i nie poświęca obyczajowemu i moralnemu wychowaniu dziecka tyle pracy, ile jéj podobne zadanie rzeczywiście wymaga.

Już w bardzo młodym wieku dzieci, łatwo dostrzedz ogromne różnice nałogów: jedne, gdy gość przyjdzie, witają go, inne w podobnym wypadku kryją się po kątach: jedne siedzą spokojnie przy stole podczas obiadu, inne z krzykiem domagają się potraw; jedne wszedłszy do obcego domu nie dotykają znajdujących się tam przedmiotów, inne biorą a nawet psują wszystko, co zobaczą. Lecz czy dobre nałogi jednych, złe innych dzieci, można w zupełności przypisać woli i pracy rodziców? Bynajmniéj! W nałogach wychowańców przejawiają się nałogi wychowawców, ich położenie towarzyskie, ich stosunki, słowem—wszystko oprócz pracy, bo tej albo nie ma, albo jeśli jest to raczej doraźna niż systematyczna, raczéj wytępiająca złe, niż rozwijająca dobre.

Od chwili kiedy dziecko zaczyna pierwsze wyrazy wymawiać i pierwsze stawiać kroki, zaczyna się też jego nauka obyczajności na wprawie i naśladownictwie oparta. Powoli i stopniowo poznaje ono użytek stołu i krzesła, łyżki i widelca, we wszystkiem naśladując ruchy osób stanowiących najbliższe otoczenie, o ile zaś nie umie lub nie chce robić tego, o ile zachowuje się niewłaściwie, uczą je, objaśniają i napominają. Ten też tylko zakres najprostszych czynności zostaje rzeczywiście pod kierunkiem starszych, lecz w miarę podrastania dziecka mniej już pracuje się nad systematycznem wytwarzaniem nowych a dobrych nałogów, które rozwijają się o tyle, o ile sam bieg wypadków domowego życia nastręczy do tego sposobność. Jedynak zamożniejszych rodziców naprzykład, wtedy uczy się postępować z rówieśnikami, gdy bliżsi znajomi jego rodziców mają dzieci, w razie przeciwnym pozna tylko, jak należy postępować z osobami starszemi; ten brak w wychowaniu nie miałby miejsca, gdyby rodzice nie tylko zabraniali dziecku robić źle w życiu domowem, lecz starali się także ułatwić mu możność wypełniania postępków dobrych w życiu pozadomowem.

Podobnie jak w wytwarzaniu nałogów, nie ma systemu i w zaszczepianiu zasad. Każdy wychowawca wprawdzie co dzień powtarza dziecku wielką liczbę pięknych i praktycznych zdań jak np. polegaj na własnych siłach, nie obmawiaj nikogo, zastanawiaj się nad wszystkiem—lecz cóż z tego, kiedy wychowaniec rzeczy tych nie rozumie, a jeżeli rozumie, to nie wie z jakiej racyi mają go one zobowiązywać i czynności jego krępować. Jaki system, taki rezultat. Z uwagą wprawdzie słucha wychowaniec zdań pięknych, powtarza je przy sposobności i przekazuje z czasem własnym dzieciom, najmocniej jednak wierząc w to, że prawdziwemi krzewicielkami moralności są: rózga dla młodszych; bieda dla starszych. Czy przecież nie należałoby pomyśleć, że pole walki życiowej zbyt twardą jest szkołą dla nioodpowiednio przygotowanych i że obowiązkiem wychowawcy jest przelać w dziecko, o ile można, największy zapas własnej nauki i doświadczenia?....

ŚLADY ŻYCIA.

IX.

Tyle życia, ile.... w czynie.

Przed kilku tygodniami opuściło prasę sprawozdanie z działań banku handlowego za miesięcy siedemnaście od czasu założenia téj instytucyi. Wszystkim wiadomo, a prasa bezustannie na tę nutę śpiewa—jak drogim a nadewszystko jak trudnym jest u nas kredyt. Zdawało się, i słusznie, że powstanie pewnéj liczby zakładów kredytowych prywatnych znakomitą ulgę przyniesie przemysłowi i handlowi krajowemu. Ale jakby się mylił ten, ktoby sądził, że nasze młode instytucyje ekonomiczne nie przynoszą żadnych społeczeństwu korzyści, tak znowu i ten byłby w błędzie, ktoby myślał, iż one rzeczywiście tak bardzo w pomoc przychodzą drobnemu zwłaszcza przemysłowi i handlowi. Chwali się tem szczególniéj w swem sprawozdaniu bank handlowy warszawski. Czytamy tąm, że jakkolwiek rozpoczął działalność w okolicznościach bardzo nieprzyjaznych (wojna francusko-niemiecka), zdołał przez ostrożność uniknąć strat, możliwych w takich czasach i osiągnął wiele korzyści przez wspomaganie drobniejszych nawet firm, mając na uwadze dobro przemysłu i handlu. Otóż dwa słowa nadmienimy do sprawozdania banku. Nie myślimy zaprzeczać zasług kierownikom tego zakładu za to, że w niepewnych czasach politycznych działali ostrożnie a pomimo to nieczynnym bank nie był, — za to, że w ostatecznym rezultacie dywidenda dla akcyjonaryjuszów wynosi 8^{57}, ale protestujemy stanowczo przeciwko twierdzeniu, jakoby bank wziął w swą pieczę drobny nawet przemysł i handel. Nie! Cały szereg faktów przytoczyćby można na dowód, iż mniéj zamożnym chociaż pewność do wysokości żądanéj sumy przedstawiającym przemysłowcom i handlującym, bank wielkie robił trudności a nawet wprost im kredytu odmawiał, dla tego tylko że taką była jego wola a wola banku jest wszechpotężna. Ona to przyczynić się może albo do wydostania z nieszczęścia chwilowego, albo do pomożenia w zrobieniu szczęścia, którego przecież wszyscy zarówno poszukujemy. Niech więc wybaczy bank handlowy, że za obowiązek sobie poczytujemy sprostować tę jego chwalbę własną, na którą postępowaniem dotychczasowem jeszcze sobie nie zasłużył. Gdy jednak to, o czem mówią słowa sprawozdania, kiedyś w czyn się zamieni, wtedy pierwsi uchylim czoła przed instytucyją pojmującą w ten sposób nietylko swe spekulacyjne ale i obywatelskie zadanie. Dziś zaś można tylko powiedzieć, że bank handlowy rzeczywiście rozwija się świetnie i że należy do zakładów pierwszorzędnych, — ale tego, czego najbardziéj pragniemy, t. j: wspierania ludzi średnich, bardzo średnich, tego jakoś dotychczas dopatrzeć się nie możemy. Nie traćmy atoli nadziei na przyszłość...

*
* *

Słyszeliśmy że w mieście naszem ma być otwartą nieustająca wystawa płodów rzemieślniczych—przyczém osoby zwiedzające objaśniane być mają przez fachowych nadzorców o wartości wyrobów i ulepszonych sposobach produkcyi. Doniosłość tego rodzaju zakładu, jego korzystny wpływ na rozwój miejscowego przemysłu—niepotrzebuje być wykazywa-

Dwa więc zarzuty zrobić można dzisiejszemu moralnemu i obyczajowemu wychowaniu dzieci. Pierwszy ten, że rodzice nie zakładają sobie wytworzyć w dziecku pewnych oznaczonych, dobrych nałogów, lecz pracę tę zostawiają okolicznościom życia domowego, ograniczając osobistą swoją rolę do usuwania nałogów złych, i to wtedy dopiero, gdy owe nałogi staną się już nieznośnemi wadami. Drugi nie mniéj ważny zarzut jest ten, że rodzice szczepiąc zasady poprzestają na wypowiadaniu zdań ogólnych, bez względu na to, że dziecko zwykle ich nie rozumie, nie pamięta, a tem samem i wykonywać nie może.

Reforma więc, jeżeli ma być jaka. musi się zacząć od uznania przez rodziców tej prawdy, że wychowanie dzieci jest ciężką lecz nieuniknioną pracą, do której należy użyć wszystkich sił, środków i czasu, i że w kwestyi tej nic przyszłości, nic okolicznościom zostawiać, ale sami i tylko sami wszystko przewidywać i urządzać musimy. Po takim wstępie, trzeba się zająć dokładnem poznaniem i zapamiętaniem nałogów i tych zasad, które dziecko posiada, i tych które pragniemy zaszczepić, dbając nietylko o przekazanie mu naszych cnót osobistych lecz i tego wszystkiego cokolwiek w naturze ludzkiej jest dobrem, szlachetnem i praktycznem. W tej ciężkiej zresztą pracy pismo nieocenione odda nam usługi, notując bowiem codzienne spostrzeżenia robione nad dziećmi, po pewnym czasie poznać będziemy mogli fizyczną i duchową organizacyję dziecka, wszystkie wady lub przymioty jakie już nabyć zdołało—a tem samem będziemy wiedzieli, nad któremi z nich i w jaki mianowicie sposób pracować nam wypadnie.

Przystępując zaś do wytwarzania nałogów, nie należy brać ich za wiele na raz, z jednéj bowiem strony i nam i dziecku sił do tego nie wystarczy, z drugiej znowu, lepiej utrwalić jeden dobry nałóg, choćby w ciągu dłuższego czasu, niż zaczepiając o wielką ich liczbę nie utrwalić żadnego.

Przy pracy szczepienia nałogów, trafić się mogą dwa wypadki: albo dziecię nie posiada żadnego odpowiadającego naszym zamiarom nałogu, albo posiada wprost przeciwny.

Gdybyśmy chcieli np. dziecko, które nie nie miało jeszcze towarzystwa, przyzwyczaić do łagodnego z rówieśnikami postępowania, należy się przedewszystkiem o tych rówieśników postarać, co przy istnieniu miejsc dla wspólnych dziecinnych zabaw nie przedstawiałoby żadnéj trudności. Raz wprowadziwszy tam wychowańca łatwo, już wybrać mu najwłaściwsze towarzystwo, zapraszać je do domu i czuwać nad zabawą. Jeżeli dzieci bawią się zgodnie, nie robią sobie nawzajem przykrości, wtedy najważniejsza część zadania spełniona, lecz jeżeli powstają i powtarzają się zwady między dziećmi, należy je ostrzegać, wstrzymywać zabawę, a w ostatecznośći zmienić nawet towarzystwo, w podobnych bowiem warunkach dziecko nie nauczy się łagodnego postępowania.

Jeżeli w dziecku dostrzegamy zawiązek złego nałogu, np. pociąg do rwania kwiatów, psucia sprzętów, niszczenia zabawek, zacznijmy naprzód od wykorzenienia jednej z tych wad, np. zwyczaju rwania kwiatów i w tym celu, biorąc dziecko do ogrodu, zapowiadajmy mu z góry, aby strzegło się wspomnionego nałogu. Jeżeli wychowaniec w obec nas zakazu nie przekracza, pozwólmy mu i w naszéj nieobecności zbliżać się do kwiatów, poprzednio skłoniwszy go do obietnicy, że szkody nie zrobi, a następnie coraz częściej pozwalajmy na te zbliżenia, coraz rzadziej przypominając zakaz, lecz zawsze dowiadując się, czy dziecko o nim pamięta.

W ten sposób od najmłodszego wieku dziecka starajmy się je stawiać w okolicznościach rozwijających pewne nałogi, notujmy dobre które nabyło, złe których się pozbyło i rozmawiajmy z niem często o jego postępowaniu, celem zbudzenia i utrwalenia w dziecku tego najważniejszego nałogu: *aby wiedziało o swych czynnościach i uczyło się je krytykować.* Przy podobnym systemie wychowania dziecko nie nabędzie złych nałogów, i łagodne napomnienie wystarczy do usunięcia błędu, który od czasu do czasu popełni. Jeżeli zaś mamy do czynienia z dzieckiem, w którém złe nałogi już się utrwaliły, dla którego obojętną jest przestroga, wowczas odwołajmy się do środków energiczniejszych, lecz jak już dawniej powiedziałem unikajmy kar gwałtownych, które organizm lub ambicyję dziecka podkopać mogą.

W tem miejscu czuję się obowiązanym jeszcze raz zwrócić uwagę czytelników, że metoda proponowana nie ma na celu wprowadzać systemu kar i nagród, lecz usunąć z wychowania niesystematyczność, dowolność i środki niewłaściwe,—niesłusznie więc oskarżono mnie o zamiar głodzenia dzieci. Jest różnica między uczuciem głodu a głodzeniem i lepiej tego uczucia niż rózgi do ukarania używać.

Streszczając, co w kwestyi wytwarzania nałogów powiedziałem, wypada, że dwie są drogi do tego celu prowadzące, Pierwsza polega na spokojnem przyzwyczajaniu dziecka do pewnych czynów, które ono dokłaonie rozumie i do spełniania których ciągle nastręczamy mu sposobność, druga polega na skojarzeniu w umyśle dziecka ze złym czynem uczucia przykrości, z dobrym przyjemności, nadewszystko pamiętając o tem, aby za każdem dobrowolnem przekroczeniem zakazu następowała przykrość. Rozumie się, że drugi ten sposób w rzadkich wypadkach będzie stosowanym, lecz najgorsze dziecko poprawi, w duszy bowiem jego, na podstawie ciągle doznawanych przykrości wytworzy się wstręt do pewnych czynów i nałóg do ich unikania, a choć z czasem zatrze się pamięć przykrości pojedynczych, wstręt jednak i nałóg pozostaną na zawsze. Ktokolwiek zastanawiał się nad historyją własnego dzieciństwa, nad źródłem swoich nałogów i owych nieokreślonych a tak głęboko zakorzenionych pociągów i wstrętów, ten łatwo uzna słuszność wypowiadanych tu uwag.

Przejdźmy teraz do kwestyi wyrabiania zasad.

Zasady są to pewne prawidła ogólne, według których dziecko postępowaniem swojem kierować winno, widocznie więc zasada, jak i każda prawda, która nie ma być pustym dźwiękiem wyrazów, lecz praktyczną dla działań wskazówką, musi być: 1) zrozumiana, 2) utrwalona, 3) w praktyce zastosowywana. Zbadajmy te warunki biorąc jako przykład zasadę: nieszkodzenia innym.

Łatwo pojąć, że zasady nie mogą być wykładane w zbyt młodym wieku, dziecko bowiem nie tylko *treść* zasady, ale i *konieczność jej wykonania* zrozumieć powinno. Aby treść powyższego przykładu stała się dla dziecka jasną, powiedzmy mu, że wykracza przeciw zasadzie nieszkodzenia innym, kiedy bije swo-

---

nym. W ten to sposób winniśmy jednoczyć siłę myśli z pracą rąk służąc w dobrze zrozumianym interesie własnym, sprawie ogólnego dobrobytu. Urzeczywistnieniem tej zacnej myśli zajmuje się podobno Redakcyja *Gazety Przemysłowo-Rzemieślniczej.*

* * *

P. Klemens Podwysocki, jak donosi „Kur. War." tłumaczy tom najnowszych poezyj Wiktora Hugo p. t. „*Straszny Rok*". Wzmianki o tem nowem dziele wielkiego poety były pomieszczone w Kłosach i w Biblijotece Warszawskiej.

* * *

Z tegoż pisma dowiadujemy się, że zarząd kopalni marmuru w Chęcinach wysyła na wystawę politechniczną w Moskwie zbiór 40 okazów różnych odmian marmuru wydobywanego w gubernii Kieleckiej. W marmurach tych bardzo pięknych nierzadko napotyka się: ołów, srebro miedź, malahit i lazuryt. Marmury nasze przedstawiające jeśli się nie mylimy, osmnaście zasadniczo-odmiennych gatunków należą w znacznéj części do wyborowych i szkoda ze przemysł kamieniarski tak niedołężnie użytkować z nich umie. Na miejscu znaleźć można tylko najgrubsze wyroby i to po cenach niesłychanie wysokich, bo kamieniarzowi który najprostszą w świecie popielniczkę wykuł i wypolerował zdaje się, że wielką rzecz zrobił. Ludzie pomysłowi i ruchliwsi winni na to zwrócić uwagę. Po co mamy sprowadzać marmur pod postacią galanteryjnych wyrobów ozdobniéj wykończonych, skoro równie dobry materyjał w kraju się znajduje a przecież wyrabianie z niego znaczniejszej liczby i wykwintniejszych przedmiotów, nie wymaga znów tak wielkiej umiejętności. Niewiemy w jakiej formie zarząd myśli przesłać wspomnione okazy marmurów ale sądzimy, że posłanie samych tylko surowych materyjałów, smutnieby świadczyło o naszém niedołęstwie. Oprócz marmurów mają być też wysłane okazy rud siarkowych ze wsi Czarkowy w pow. Pińczowskim, gdzie roczna produkcyja wynosi do 40,000 pudów czystej siarki.

* * *

Na wspomnioną wystawę, między innemi p. Mieczkowski wysyła wielce kosztowne album przedstawiające historyczny rozwój sztuki fotograficznéj i przyrząd ulepszony własnego pomysłu.

* * *

W bieżącym miesiącu rozpocznie się druk *Encyklopedyi Rolnictwa i wiadomości związek z niem mających.* Dzieło to mające objąć pięć wielkich tomów in 4-o (około 250 arkuszy druku) z drzeworytami w teksice, wychodzić będzie pod redakcyją J. T. Lubomirskiego, Edmunda Stawiskiego i Stanisława Przystańskiego. Ma ono zawrzeć „wszystkie potrzebne rolnikowi wiadomości i wskazówki." Pomimo swego tytułu, nie będzie to dzieło tylko objaśnieniem wyrazów ale zupełnym wykładem najrozmaitszych zagadnień dotyczących rolnictwa, ze starannem uwzględnieniem warunków miejscowych. Prenumerata na całość wynosi w Warszawie rs. 20 a na prowincyi rs. 23—ale dla ułatwienia postanowiono przyjmować ją częściowo przy odbiorze pojedynczych zeszytów za złożeniem tylko jednorazowej zaliczki w ilości rs. 3. Życzymy wydawnictwu temu szczerego poparcia ze strony ludzi których sprawy rolnictwa krajowego bliżej obchodzą a którzy w doborze redakcyi i współpracowników znaleść mogą dostateczną gwarancyją że obszerna ta praca z całą sumiennością do końca doprowadzoną zostanie.

* * *

Kilku młodych lekarzy przystępuje do wydawnictwa nowego czasopisma lekarskiego

ich rówieśników, oskarża kogoś lub obmawia, zabiera lub psuje rzeczy do innych należące i t. d., wybierając przykłady, które dziecko zna z własnego doświadczenia. Aby wykazać konieczność niewykraczania przeciw powyższemu prawidłu, należy dziecku przypomnieć wszystkie przykrości, których z tego powodu doświadczyło, jak: kara, gniew i zmartwienie rodziców i starszych, wstyd w obec obcych, łzy i niechęć rówieśników i t. p. Gdy dziecko zrozumie zasady na podstawie własnego doświadczenia, przytaczajmy mu w tym samym celu przykłady bądź z życia, bądź z książek czerpane, zawsze okazując, że czyn zły, jest złym nadewszystko dla występnego. Każmy następnie dziecku zapisać poznane prawidło, powtarzać je i objaśniać, coraz nowe wybierając do tego przykłady i pilnie uważając na to, aby dziecko w razie wykroczenia przeciw zasadzie, doświadczyło wypływających stąd następstw.

W ten sposób zwolna tłumacząc i utrwalając pojedyncze zasady, skłaniajmy dziecko do robienia pewnych planów i do ich wykonywania, aby wychowaniec nasz nie tylko rozwijał umysł, lecz i hartował charakter w walce z przeciwnościami. Zazwyczaj nie robimy tego, poprzestajemy na morałach ustnych, to też i dzieci nasze rosną nie wiedząc o zasadach, znając tylko nazwiska, nie zaś fakta i dopiero wyszedłszy na świat bolesną rozpoczynają edukacyję.

Większa część prawideł moralnych zapisana jest w katechizmie, ale nie słusznie rodzice sądzą, że już sama ta nauka wystarczy do zrobienia dziecka moralnem. Czyż mogą służyć za podstawę do wyrabiania zasad rzeczy tak odległe i dla dziecka niepojęte, jak: śmierć, sąd, piekło i czyściec? Dajmy więc pokój temu hurtownemu przelewaniu niezrozumiałych słów w zbyt młodą pamięć, oprzyjmy zasady na warunkach życiowych i dotykalnych, korzystajmy z wszelkich okoliczności jakie nastręcza życie i nadewszystko, zwracajmy więcéj uwagi na dzieci, a przy tych warunkach, po upływie jakiegoś czasu, niezawodnie mniej będziemy mieli kłopotów z wychowaniem, skoro dzieci znajdą dla siebie stróża we własnem starannie wypielęgnowanem sumieniu. *Al. G.*

DRUGA MIŁOŚĆ

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(Dalszy ciąg).

Odszedł na górę a żona słyszała że pukał do pokoju córki. Nie było czasu do namysłu, lada chwila mogła być odkrytą, postanowiła więc zabezpieczyć przynajmniéj zemstę. Nic by jej w téj chwili nie zatrzymało. Chwyciła za klamkę drzwi od gabinetu męża, ale były zamknięte, przypomniała sobie okno przez które mogła była tak łatwo wleźć kilka godzin temu. Obeszła klasztor. Dermot już nie stał tam z cygarem w ręku, nie było nikogo, a okno było uchylone. W jednem okamgnieniu wskoczyła na framugę i dostała się do pokoju. W pierwszéj chwili przyklęknąwszy na podłodze chciała wyłamać zamek w szkatułce, ale nie było tego potrzeby. W pośpiechu i pomięszaniu, Kennedy nie przymknął dobrze wieka, gdy zakręcał kluczem, dość więc było je podnieść, ażeby opanować papiery. Rozśmiała się głośno, rzuciwszy na nie okiem. Co za zaślepienie, co za szczególny zbieg okoliczności doprowadził ją do posiadania owych numerów *Moonagh Herald!* Oszaleli—pomyślała sobie—oszaleli! Wzięła dwa numery i zawróciła się do wyjścia, ale zamało jej się wydało, wróciła i wzięła trzy jeszcze, a gdy doszła do okna, wróciła znowu i wzięła jeszcze jeden. Obawa natychmiastowego, nie zaś późniejszego wykrycia kradzieży wstrzymała ją od zabrania wszystkich. Tak silna była jej nienawiść, iż zdawało się że nic jej nasycić nie zdoła.

Wróciła do swego pokoju; Elżbieta skończyła robotę przy sukni można więc było zamknąć się i rozpatrzyć zdobycz. Wszystkie numery pisma były z jednej daty. Przejrzała jeden i znalazła w nim to, czego potrzebowała: śledztwo prokuratora w przedmiocie śmierci Smitha.

Wypadek ten, mało znany za granicą, wywarł wrażenie w miasteczku Moonagh. Trzy kolumny gazetki prowincyjonalnej zajęte były jego opisem i pewno wielkie wrażenie wywarły na puplicznośći. A jak to strasznie podejrzanie wyglądało! Wprawdzie kończyło się wyrokiem uniewinniającym, ale ten wyrok zabijał dobrą sławę Dermota. Oczy pani Kennedy zabłysły. Oszukał ją; nie przypuścił jej do swego zaufania, nie bolał nad jej utratą ale pocieszył się inną miłością. Nadomiar wszystkiego wybrał pannę, której mu oddać nie chciała, ożenił się z Sybillą i jest właścicielem Saint-Vincent! Za te wszystkie grzechy spotka go kara. Listami bezimiennemi można wzgardzić, ale cóż zachwieje bezlitosnem, ścisłem świadectwem dziennika *Monagh Horald,* opisującym osobę Dermota, aż do koloru jego włosów, gdy stawał do badania? O litości nie pomyślała nawet. Zawinęła każdy numer w osobny pakiet i choćby jej mąż wykrył sprawcę kradzieży, postanowiła, rozesłać je natychmiast. Otworzyła drzwi z zasuwki, zadzwoniła na służącą i zaczęła się ubierać, nawet Eżbieta spostrzegła że jéj pani jest w niezwykłem usposobieniu.

Gdy tak Blanka trymfowała, Sybilli serce smutek napełniał. Postanowiła nie pokazać się wcale gościom. Znękana była, prawie pragnęła jakiejś katastrofy, któraby położyła koniec temu wszystkiemu. W takiem usposobieniu znalazł ją ojciec, gdy opuściwszy żonę przyszedł i zwrócił jej uwagę, że czas się ubierać i zejść na dół.

— Nie mogę—rzekła obojętnie

Próżno nalegał, w końcu rzekł:

— Musisz. Dermot powiedział że żąda tego.

Na wpół temu uwierzyła Sybilla, ale i to już było dostateczne; z ociąganiem się powiedziała w końcu że przyjdzie. Gdy Kennedy wracając przechodził obok pokoju swojej żony, usłyszał że rozmawiała i śmiała się głośno.

— Czego tak wesoła? pomyślała marszcząc brwi niespokojnie, do tego już bowiem odpewnego czasu doszło między niemi, że wesołe usposobienie żony zawsze męża przejmowało tajemnym strachem. Myśl jego zwróciła się do gazet, które miał na dole. Zdawało się niepodobnem iżby mogła się dobrać do nich, a jednak trudno było ręczyć. Zszedł po schodach popróbował drzwi, były zamknięte. Teraz je spalić czy czekać do nocy? rozmyślał wahając się. Brakło mu jednak czasu do namysłu, bo zajechała kareta przed ganek i wy-

---

p. t. *Medycyna.* Redaktorem ma być Dr. Benni.

* * *

Potrzeby machin i narzędzi rolniczych o tyle się w kraju naszym zwiększyły, że fabryki krajowe z korzyścią własną i ogólną pracować na tem polu mogą. Co więcéj, wyroby tych fabryk doszły już do pewnego stopnia doskonałości, do takiéj nawet doskonałości i taniości, że z Galicyi nieraz do fabryk naszych przychodzą żądania dosyć liczne, którym jednak zadosyć uczynić nie możemy. Dla czego? Oto machiny rolnicze wyrabiane tu i tam, obłożone są cłem wchodowem, przeszkadzającem fabrykom naszym rozwinąć się należycie. Z Prus do Austryi i naodwrót, cła nie ma. My tylko z wielką dla wyrobów miejscowych krzywdą cierpimy pod tym względem niesłusznie. Jeżeli rzeczywiście nasze machiny rolnicze są poszukiwane w ościennych prowincyjach, nie pojmujemy, dla czegoby osoby interesowane postarać się nie umiały, tam gdzie należy, o zmianę odpowiedniego punktu taryfy celnéj. Trzeba rączo zabrać się do dzieła i nie narzekać, że „wszystko to u nas *niemożliwe(!?).*“ Przeciwnie, uwzględnienie przez radę państwa domagań się prasy w cesarstwie i u nas, o zniżenie cła wchodowego od cukru, daje nam nadzieję, że i inne kwestyje dotyczące przemysłu krajowego nie przejdą bez odgłosu w sferach właściwych.

* * *

Zwracamy uwagę na artykuł p. *I. T. Hodiego* pomieszczony w *Kłosach* (Nr. 360) p. n: *Języki i Religia,* z którego czytelnicy mogą poczerpnąć kilka ciekawych i cennych wiadomości, tyczących się językoznawstwa i mitologii, opartej na naukowem badaniu najstarożytniejszych pomników języka w którym dawni Hindusowie swoje wierzenia złożyli. Treść jest zapożyczona z książki *Maksa Müllera,* profesora filologii porównawczéj w uniwersytecie Oxfordzkim, jednego z najznakomitszych badaczów mowy; — a obrobienie bardzo ponętne. W ogóle w tych kilkunastu listach jakie pan *Hodi* przesłał dotychczas do Kłosów zauważyliśmy ogromną wprawę stylową, zwroty nowe i niespodziewane, frazeologją świetną; — chociaż trudno się nieraz nieposkarżyć na niejasność i zawiłość wykładu, która nie pozwala odnieść z przeczytanego artykułu takiéj korzyści, jakby może autor życzył sobie. W każdym razie jestto talent. Zakresu jego ani głębokości dziś jeszcze zmierzyć nie podobna, gdyż myśli swoje p. H. zwykle przyczypia do jakiegoś dzieła które mu wpadnie w rękę i z którem naturalnie czytelników zaznajomić pragnie; –a choć i tutaj można zaznaczyć wyraźnie swoje stanowisko i wypowiedzieć całą wiedzę swoję, to jednakże dotąd nie można było schwycić jeszcze dokładnie moralnéj, a raczéj umysłowéj fizyjonomii p. Hodiego. Zresztą nie mając rozbieranéj książki trudno czasami dowiedzieć się, co jest żywcem z niéj wzięte, co przerobione a co wreszcie stanowi oryginalną myśl sprawozdawcy. Tak np. i w tym artykule wykazuje się pokrewieństwo polskiego słowa *wiem* i litewskiego *žinau* na podstawie sanskryckiego *gnati.* Prawdopodobnie jestto dodatek p. Hodiego albo też nieumiejętne pomięszanie tekstu; bo żaden filolog nie może się zgodzić na zidentyfikowanie tych dwu różnych pierwiastków. *Gnati* odpowiada polskiemu *znać,* łać: *(g) nosco,* grec: *gi-gnosko;* a *wiedzieć* zupełnie innym. Ale to są szczegóły językoznawcze wprawdzie niezmiernie ważne, dla publiczności jednak naszéj zupełnie obojętne; podnosimy je tylko z obowiązku sprawozdawczego. Ważniejszem jest to, co pan *Hodi* twierdzi o pojęciu *bóstwa.* Zdawałoby się podług tego, że starożytni Indyjanie byli już na tyle filozofami, że rozumieli abstrakcyje, że bardzo niewiele im brakowało do tego, ażeby mieć takie pojęcie o Bogu, jakie mają ludy dzisiejsze. Jestto błąd, którego źródła szukać należy w naciąganiu cu-

siadła pani Ronald, zostawiając Miss Spancer w karecie. Dla czego przybyła tak wcześnie i dla czego zostawiła towarzyszkę w pojeździe? Było w tem coś niedobrego, ale pozostawało panu Kennedy tylko opanować wrażenie, i z najuprzejmiejszym wesołym uśmiechem wyjść na spotkanie. Pani Ronald przybrała poważną urzędową minę; Kennedy zdawał się tego nieuważać.

— Czy mogę pana prosić o pięć minut rozmowy?—rzekła przymuszonym tonem.

— Jestem na rozkazy pani—zechciej pani do salonu.

— Życzyłabym sobie pomówić na osobności z panem — wprzód nim się zbierze towarzystwo.

Kennedy wyjął klucz od swego gabinetu i wprowadził tam panią Ronald.

— Panie Kennedy—rzekła siadając—dozwól mi zapytać, kto jest pan Dermot?

Człowiek dobrego pochodzenia i mój przyjaciel—odpowiedział sucho.

Pani Ronald zmięszała się nieco, potem rzekła mniej już stanowczo.

— Więc to niemoże się stosować do niego. I wręczyła panu Kennedy list rozpieczętowany, pisany tą samą ręką co i ów bezimienny, który panna Glyn otrzymała, następującej treści:

„Czy pani de Lonville wiadomy prawdziwy charakter jegomości przebywającego w Saint-Vincent? Czy jej wiadomo że ciąży na nim podejrzenie szkaradnej zbrodni? Czy jej wiadomo że rok temu obwiniony był publicznie w Irlandyi o morderstwo? Czy jej wiadomo że nieszczęsny Smith spalony był na śmierć i że pan Dermot był obwinionym o podłożenie ognia pod swój dom własny? Ale niemoże być iżby pani de Lonville wiedziała o tem. Niech więc to jej służy za ostrzeżennie.

Przyjaciel."

Na czoło pana Kennedy wystąpiły krople potu; nic nieodpowiedział.

— List ten, — mówiła pani Ronald, — przyniosła mi przed godziną pani de Lonville. Przyszła pod pozorem, żeby jej go przetłómaczyć, nie umie bowiem po angielsku, ale znam słabość tej pani do rozsiewania plotek, i pewna jestem że całe Saint-Vincent obiegła, nim do mnie przyszła. Ktoś w rzucił jej list ten przez okno otwarte, dziś rano, nie wie kto taki.

Kennedy wiedział bardzo dobrze kto to zrobił. Niebyło jednak czasu w tej chwili na śledztwo, bo trzeba było mieć się na baczności i stawić czoło niebezpieczeństwu. Spojrzał na panią Ronald z uśmiechem.

— I pani przywiązuje pewną wagę do tej obrzydliwej potwarzy? zapytał chłodno i niedbale. Ten ton mu zaszkodził. Pani Ronald obraziła się.

— Panie Kennedy—rzekła wstając. Gardzę bezimiennemi listami ale chodzi mi o dobrą opinją i ostrzegam pana, że jeżeli będziesz nadal przyjmował u siebie pana Dermota, zostaniesz zupełnie osamotniony w Saint-Vincent.

— Dermot i ja odjedziemy za kilka dni—dwuznacznie odpowiedział Kennedy.

— Będzie to dobrze dla pana — z przekąsem rzekła pani Ronald — a także zapewne i dla pani Kennedy. W istocie, panie Kennedy, masz pan obowiązek być wspaniałomyślnym, względem twojej młodej żony, niemniej jak względem twego przyjaciela. Byłoby okrucieństwem świat jej zamykać. Jest zarówno dobra jak piękna. Mało znam pań w jej wieku, dla którychbym równy miała szacunek.

Pani Ronald z prawdziwem rozczuleniem wyrzekła te słowa, których Kennedy wysłuchał z niezmiernie uprzejmym uśmiechem.

— Żona moja prawdziwie obowiązana pani za tak wysoką opinję — rzekł grzecznie — i pewno nie będzie dotknięta tak srogim losem jaki pani zapowiadasz.

— Chybaże stosunek pański z panem Dermot się przerwie—rzekła pani Ronald. Powtarzam, że gardzę bezimiennemi listami, ale jeżeli pan Dermot nie oczyści się z zarzutu, to i pana dotknie potępienie jakie na niego padnie.

— Oczyści się —rzekł stanowczo Kennedy; — wszystko to kłamstwo od początku do końca—Smith żyje i ma się dobrze.

Pani Ronald zachwiała się w swem postanowieniu, ale jeszcze nie była przekonaną.

— Dobrze, niech się oczyści z zarzutu, — rzekła — ale tymczasem nie przyjmuj go pan w swoim domu, niech go nie widują obok twojej córki. Przyjmij pan radę od przyjaciołki.

Pan Kennedy stracił na minie, słuchając tych słów pani Ronald. Jak mógł wzbronić wejścia do domu jego właścicielowi, jak mógł wzbronić mężowi widywania się z żoną? Myślał nad tem jak ma uniknąć niebezpieczeństwa, lub przynajmniej jak odroczyć go na chwilę. Zawsze się jeszcze uśmiechając, poprowadził panią Ronald do salonu. Zaledwie tam weszli, pojawiła się pani Kennedy, ujmująca, powabna; nadeszli inni goście, a w końcu i milcząca Sybilla, zabrała miejsce na uboczu. Ojciec przybliżył się do niej i rzekł pocichu:

— Pani de Louville otrzymała list bezimienny dziś rano, i wszyscy pewno go już czytali, wyjdź i pilnuj żeby Dermot tu nie przyszedł.

Blada jak śmierć wstała Sybilla i poszła do ogrodu; wiedziała że tędy będzie wracał—modląc się zarazem o to, żeby tu nie przyszedł. Ale inaczej być miało. Zwolna, ze spuszczonemi oczami i z założonemi rękami szedł ku niej.

— Może mi się uda oszukać go—pomyślała Sybilla—i odprowadzić gdzieindziej.

Wypogodziła twarz jak mogła i wyszła naprzeciw niego.

— Gdzież to mój małżonek cały poranek spędził? zapytała wesoło.

— Interesa, Sybillo—odpowiedział.

— I dobrze poszły?

— Dobrze—mam teraz w ręku dowód winy tej kobiety. Niech mnie szkaluje, jeżeli śmie.

— Gdyby wiedział! — pomyślała Sybilla z trwogą w sercu, ale w głos zapytała: — I jakże sobie teraz postąpisz?

— Pokażę jej dowód. Niechcę i nie powinienem na teraz posuwać się się dalej. Zdaje mi się że ojciec ma zamiar wyjechać w tych dniach. Będziemy więc mogli nareszcie żyć spokojnie w Saint-Vincens.

— Ale—jeżeli się to później rozejdzie?—szepnęła Sybilla.

— Nie rozejdzie się. Alvonagh jest mieścina, której nawet na mappach nie pomieszczają. O ile mi wiadomo, o śmierci tego biedaka nie pisały żadne angielskie gazety. Nie miał nigdzie krewnych, ani przyjaciół. Był to rodzaj awanturnika, zakończył smutny żywot, i nikt się nie będzie o niego pytał.

---

dnych wyobrażeń do swoich. Zamiast postępować tak arbitralnie lepiej jest przenieść się w owe czasy pierwotne, w których nawet nazwy oznaczające dzisiaj istotę najwyższą, zarówno nasze: Bóg jak łać: *Deus* i grec: *theos* nie wypowiadały tego, co *my* przez te wyrazy rozumiemy. Znaczyły one bowiem poprostu *światło* słoneczne, księżycowe lub błyskawiczne i odnosiły się do przedmiotów zmysłowych widzialnych i słyszalnych. Toż samo należy rozumieć i o wszystkich innych postaciach mitologicznych. Prawdą jest, co mówi pan Hodi „że nie ma religii bez Boga," — ale to z tej prostej przyczyny, że *wprzód* powstały wyobrażenia o bóstwie (pierwotnie całkiem zmysłowe), zanim utworzył się jakiś system religijny, że wprzód czczono *słońce*, zanim *kult* Febusa został w całej pełni uorganizowany.

* * *

PP. Bolesław Henryk Szaniawski i Konstanty Wzdulski, jak donosi *Wędrowiec*, pracują nad ułożeniem ustawy „Warszawskiego Towarzystwa kolonizacyjnego" zaś pp. Kaszyński z Łęczycy i Gryżewski z Różyc wystąpili z projektem zawiązania w m. Łęczycy „Stowarzyszenia spożywczo-przemysłowego."

* * *

W 21 Numerze Przeglądu Tygodniowego znajdujemy artykulik p. t. „*Kary jako system wychowawczy.*" Żałujemy że autor tak ważny temat, zużytkował w sposób tak niedbały i niezręczny, że w gmatwaninie aforystycznych zdań trudno nieraz domacać się ładu i składu—a co gorsza, że jeśli się nie mylimy w niektórych miejscach dowodzi tego, czego niechciał dowodzić. Po kilku uwagach wstępnych, wykazujących że dzieci popełniają winy bez dokładnej znajomości skutków, autor zapytuje:

„Więc wszelka kara jest niepotrzebna?— *Niestety tak!*" Co znaczy owo *niestety* nie wiemy—ale jeżeli wyraz *tak* ma wyrażać potwierdzenie— to znaczy, że autor uważa karę za *niepotrzebną*. Ale zobaczmy co pisze dalej:

„...jeśli nie ma winy, to zawsze kara będzie dowolnością. Winy zaś ze strony dzieci nie ma. A więc nie powinno być kary? — *Musi być.*"

Czytelnik tedy zaczyna wierzyć, że kara *jest potrzebną*. Ale idźmy dalej. Pod koniec artykułu czytamy zapytanie i odpowiedź w rodzaju konkluzyi:

„Czy kar można względem dzieci uniknąć? —*Można....*"

I czytelnik znów zaczyna wierzyć, że kara *nie jest potrzebną*, — chociaż na kilkanaście wierszy przedtem powiedziano:

„Dziecię spełni jakiś czyn gwałtowny, *winno uledz karze*, nie dla tego *abyśmy chcieli poprawić karą źródło tego czynu*, ale dlatego, żeby *doraźnie dać dziecku poczuć, iż takie czyny nie powinny się spełniać!*" Zatem: nie dlatego się karze, *żeby dziecko poprawić*, tylko dlago, żeby mu *doraźnie dać poczuć nasze przekonania*. I to się nazywa zasadą pedagogiczną!.. Nie sądzimy żeby autor zechciał jej bronić w imieniu racyjonalnej pedagogiki. Jak zaś sam nie wie czego chce,—dowodzi następujący przykład. W artykuliku o którym mowa czytamy:

„Czy rózga może być użytą? *Niezawodnie*, w pewnych okolicznościach, z pewnemi dziećmi i do pewnej miary."

Pod koniec zaś artykułu powiada: „Takie więc kary jak głód, przestrach, *bicie nieprzystojne, łapy* i t. d., jako nierozumne winny być stanowczo usunięte."

Zatem można bić dzieci, tylko nie po rękach i nie po miejscach nieprzystojnych... Gdzież więc?..

Cieszy nas, że Przegląd *od pewnego* czasu częściej pomieszcza artykuły pedagogiczne, radzibyśmy tylko, żeby w nich koniec zgadzał się ze środkiem, a środek z początkiem.

— Ale gdyby ktoś naprzykład tak jak ona próbował mącić wodę?

Spojrzał na nią z spokojnym, pełnym inteligencyi uśmiechem.

— Obraziłem prokuratora, był więc przeciwko mnie w tej smutnej sprawie, ale umarł potem, nie mam więc co obawiać się go. Obraziłem panią Kennedy tem, że się zakochałem w tobie, ale mam ją tu—dodał, uderzając się po kieszeni—musi być potulna jak dziecko! Zdaje mi się, moja nadroższa Sybillo, że nie mam już więcej nieprzyjaciół; nigdy bowiem z umysłu nie krzywdzę żadnej ludzkiej istoty. Któż więc byłby tak podły iżby odgrzewał nikczemną potwarz? Wierz mi, że nikt. Ludzie bez celu i pożytku nie robią okrucieństwa. Zresztą każdy wie o tem iż na szkodzenie komu pociąga także za sobą pewne niebezpieczeństwo. Nie—rzekł z uśmiechem, spadł mi ciężar z piersi i nie myślę troskać się na nowo. Chcę być szczęśliwym tu z tobą, Sybillo. *(d. c. n.)*

GAWĘDY POPULARNO-NAUKOWE.

II. Oko i mikroskop.

(Dalszy ciąg.)

Lecz jeszcze bardziéj zadziwiającą okoliczność, od przytoczonéj powyżéj, przedstawia to, że pan, t. j. dusza przyjmuje wiadomości od swoich sług—nerwów, rozdziela im rozkazy, nie mając żadnéj świadomości o ich istnieniu. Dopiero późniéj, dopiero w skutek znacznie posuniętego naukowego wykształcenia, przekonywa się człowiek, że nerwy istnieją i że spełniają pewne wyznaczone czynności. Człowiek nie wie nic o swoich nerwach wzroku i nie widzi ich, boli go sparzona ręka, lecz nie ma świadomości o idących do niéj nerwach, bawiąc się porusza wprawnie i prędko językiem, lecz znów nie zna drogi, którę przechodzą do języka nerwy ruchu. Jednem słowem, nie czujemy nigdy w jakim stanie znajduje się nerw, ale raczéj tworzymy bezpośrednio, stosownie do tego jak nerw został pobudzony, wyobrażenie o przedmiocie zewnętrznym, i potrzeba dopiero naukowego objaśnienia żebyśmy ów przedmiot za przyczynę pobudzenia nerwu uznać mogli.

Jeżeli jednak ów stosunek pana do sług dosyć jest osobliwy, nie mniéj godnymi uwagi są sami słudzy. Żaden z nich nie wie nic o innych, nie ma świadomości o ich istnieniu i czynnościach, ani się z niemi nie znosi. A nawet, co jeszcze dziwniejsza, żaden z nich t. j. żadna z nitek nerwowych nie może w jednym czasie wypełniać więcéj nad jedno zlecenie, a zatém w tym względzie odpowiadają zupełnie nieinteligentnym sługom.

Dwa zlecenia naraz dane zmieszają w jedno. Najłatwiéj uwydatnić to, dotykając się dwoma ostrzami cyrkla, takich części ciała, w których pojedyncze włókna nerwowe są rozproszone na dosyć znacznéj powierzchni: n. p. ramienia, albo linii środkowéj grzbietu. Jeżeli ostrza choćby na cal są od siebie oddalone, w pomienionych częściach ciała czujemy tylko jedno ukłucie, pojedyncze nitki jednéj wiązki tak tu są od siebie odległe że oba ukłucia wypadają w obrębie jednego nerwu, a ten może na raz przyjąć tylko jedno wrażenie.

Po tych ogólnych wyjaśnieniach właściwéj natury działalności nerwów, możemy przystąpić do naszego zadania, w którém zastanowimy się w szczególności nad nerwami wzroku. Nerw optyczny, przy wejściu swojem do gałki ocznéj jest dosyć grubą wiązką, złożoną z licznych, pojedynczych nitek nerwowych. Nitki te rozgałęziają się na półkulistéj powierzchni gałki ocznéj, tak, iż każde włókno worzy cząstkę téj powierzchni. Gałka oczna odpowiada w zupełności optycznemu przyrządowi zwanemu *ciemnią optyczną* (camera obscura), a półkulista powierzchnia nerwu wzrokowego zwana *siatkówką* (retina) oka, odpowiada arkuszowi czystego papieru który służąc w ciemni optycznéj za ekran, przyjmuje obrazy. Każda nitka pobudzona przez jeden punkt obrazu, udziela natychmiast o nim wiadomość do mózgu, gdzie dusza ma swoje siedlisko, a ta z pojedynczych punktów musi tworzyć cały obraz. Czy tenże jednak będzie odbudowany dobrze, czy fałszywie, to zależy od wprawy i wykształcenia duszy. Można by mi tu zarzucić, że my o téj budowie nie mamy żadnéj świadomości, a zatém, widzenie musi być czynnością daleko prostszą. Łatwo przecież na kilku przykładach dowieść, że to tylko wprawa tak tę rzecz ułatwia, iż o cząstkowéj w tym względzie działalności ducha nic nie ujmujemy świadomie.

Dziecko, u którego ta wprawa jeszcze miejsca nie ma, dla tego właśnie buduje źle, chce dotknąć gwiazdy, zarówno jak i błyszczącego guzika u surduta ojca—usiłuje zadmuchnąć odległy księżyc, tak, jak mu się to udało ze świecą na stole.

Też same objawy spostrzegamy u ślepych od urodzenia, którzy byli poddani szczęśliwéj operacyi; przechowały się niektóre zadziwiające przypadki tego rodzaju w rocznikach okulistów, że niewidomi od urodzenia odzyskiwali wzrok, dopiero w późniejszym wieku, kiedy już mieli dosyć rozumu, ażeby zdać sprawę z tego, co w ich wnętrzu się działo. Wtedy mogli dokładnie objaśnić, jak powoli uczyli się łączyć rozmaite wrażenia światła i kolorów w jedno porządne pojęcie o świecie.

Jednakże najniewątpliwszy dowód prawdziwości przytoczonego twierdzenia, polega na tém, że przy łudzących okolicznościach, budujemy fałszywie, chociaż obraz na siatkówce nie dał do tego powodu. I tak: księżyc wydaje nam się większym, gdy wschodzi, aniżeli gdy płynie nad nami w ciemnym przestworzu; pomiary jednak pokazują że w obu razach jednakowo jest wielki, i że jego obraz na siatkówce ma w obu przypadkach jednakową średnicę. Lecz tu zasada fałszywéj budowy polega na tém, że gdy księżyc wschodzi nad poziomem, pomiędzy znanemi nam pagórkami, drzewami lub domami, sądzimy o jego wielkości i odległości według przedmiotów ukazujących się w pobliżu. I tym sposobem myląc się w ocenieniu odległości budujemy z jednych i tych samych wrażeń dwa różne obrazy z których jeden musi być naturalnie fałszywym.

W świecie rzeczywistym rozliczne materyje i siły znajdują się w ciągle zmieniającém się działaniu. Czynniki te spotykając nitki nerwowe naszego ciała wywołują zmianę jego stanu, a te zmiany są powodem, dla którego duch nasz, tworzy sobie cały pogląd na świat.

Ten, sam przez się utworzony świat, najwyraźniéj ukazuje się nam wtedy, gdy stan pobudzenia pochodzi od nerwu wzrokowego, lecz zarazem tu najoczywiściéj możemy twierdzić, że świat powstały w naszém pojęciu wprawdzie jest zależnym od świata zewnętrznego, lecz wcale nie jest z nim jednoznaczny, identyczny. Jeszcze jeden przykład może służyć do wyjaśnienia téj okoliczności a zarazam utoruje nam drogę do dalszych uwag. Najprostszy warunek, jaki musimy przypuszczać w świecie zewnętrznym jest ten, że materyja, substancyja, czy jak ją tam nazwiemy, zajmuje pewną przestrzeń.

Jeżeli nasze wyobrażenie o świecie ma się zgadzać z rzeczywistością, musimy naprzód wiedzieć, jak wielka jest przestrzeń i jaką część téj przestrzeni zajmuje materyja np. skała jakaś. Lecz nie posiadamy żadnéj miary przestrzeni, a więc nie mamy pojęcia o wielkości świata. Gdy mówimy: „Ten człowiek ma 6 stóp wysokości," to znaczy tylko że „w świecie naszéj wyobraźni pewien człowiek jest 6 razy większy niż pewna jakaś stopa," jest to więc tylko porównanie dwu pojęć.

Stąd wynika naturalnie pytanie: jak wielką jest stopa? jak wielkim jest cal? jak wielką linija? i t. d. i zawsze odpowiadamy tylko przez porównanie z innemi równie nieoznaczonemi wielkościami. Tu zaraz pokazuje się, jak nawet w najprostszym przypadku nie możemy przejść z pod działania gry naszéj wyobraźni, do poznania rzeczywistego świata, gdyż całe wyobrażenie o wielkości nie ma dla samego świata żadnego istotnego znaczenia, lecz ma tylko pewną wagę dla naszych pojęć. Mimo to przecież badacz mikroskopowy mówi o powiększeniach i sądzi że przez to rozpoznaje lepiéj przedmioty, niż poprzednio. Ażeby to pojąć, musimy tu nieco pofilozofować o wielkości, ażeby nadać temu słabemu pojęciu, większą oznaczalność i pewność. Tak np. nazywamy nogę posągu przedstawiającego Bawaryję (Schwonthaler'a) kolosalną, nogę dorosłego mężczyzny dużą, nogę kobiety małą, a dla czego? Łatwo powiedzieć, podzielmy każdą z tych stóp na 12 cali, każdy cal na 12 linij a każdą liniję jeszcze na 12 części, to już tych ostatnich cząstek w nodze kobiety nie możemy odróżnić, u mężczyzny są one zupełnie wyraźne, lecz u posągu Bawaryi każdą z tych ostatnich 12-u części możemy jeszcze na 12 podzielić, a każda z nich będzie dosyć wyraźną. Tu zarazem znaleźliśmy proste określenie wielkości. Przedmiot *jest dla nas tém większy, im więcéj cząstek* w nim odróżnić możemy.

Przy tém określeniu pojęcia może nas jednak jeszcze jedno zastanowić. Odprowadziliśmy rozłączającego się z nami przyjaciela, aż do pagórka za miastem, jeszcze raz spoglądamy długo i głęboko w jego oblicze, ażeby wrazić w pamięć te rysy tak drogie. Nakoniec wyrywa się z naszych objęć i oddala się prędko; długo spoglądamy za nim. Ogląda się i jeszcze rozpoznajemy znaną twarz. Odległość rośnie coraz bardziéj i coraz więcéj znikają pojedyncze szczegóły postaci. Zakręt drogi zasłania go nam przez pewien czas, i jeszcze raz ukazuje na najodleglejszym pagórku jako mały, czarny, poruszający się punkt; staje, daje znaki chustką, lecz ruchów tych także nie możemy już odróżnić i nakoniec znika całkowicie w oddali. Im daléj znajdował się nasz przyjaciel, tém mniejszym nam się wydawał, aż nakoniec guzik trzymany przed okiem, zakrył go zupełnie.

Ponieważ tu możemy zauważyć, jak, nawet dobrze nam znany przedmiot staje się coraz mniejszym i nakoniec znika zupełnie, zatém nasuwa nam się namysł sposób powiększenia jakiegoś przedmiotu, uczynienia go wyraźniejszym, odróżnienia w nim większéj ilości pojedynczych części, poprostu przez zbliżenie go do oka. Doświadczenie naucza, że środek ten daje się zastosować, lecz wkrótce przekonywamy się, że istnieje tu pewna granica, po za którą gdy zbliżymy przedmiot do oka, nie możemy go widzieć wyraźnie.

Przyczyna tego leży w budowie małéj ciemni optycznéj, którą gałką oczną nazywamy. Może ona, równie jak każdy podobny przyrząd optyczny być zastosowana tylko do pewnych odległości, a jeżeli chcemy bliżéj coś widzieć, musimy zaprowadzić odpowiednią zmianę w tym apparacie, co robi się poprostu w ten sposób, że umieszczamy przed okiem jakieś ciało przezroczyste, któremu nadajemy kształt podług pewnych praw, używając w tym celu zwykle szkła szlifowanego.

Szkłem takiem właśnie, jest tak zwana lupa czyli mikroskop prosty, którego działanie polega na tém, że uprzystępnia nam dokładne widzenie jakiegoś przedmiotu w takiéj odległości, w jakiéj byśmy go inaczéj widziéć nie mogli. Nie ma potrzeby rozwodzić się tutaj nad prawami optycznemi z których to działanie wypływa, na to jednak chcemy zwrócić uwagę, że z łatwością można oznaczyć ile razy będzie powiększony przedmiot przy użyciu tego przyrządu. Przyjmujemy, że oko ludzkie widzi wyraźnie w odległości mniéj więcéj 8 cali, lecz nie większéj. Jeżeli użyjemy szkła które nam pozwoli widziéć przedmiot wyraźnie jeszcze przy odległości 4 cali, przedmiot wyda nam się 2 razy większym;—przy odległości 2 cali—4 razy większy, a przy odległości $^1/_{10}$ cala, 80 razy większym i t. d. Jednem słowém powiększenie zależy tylko od tego, o ile przedmiot do oka się zbliży. Dawniéj te proste mikroskopy miały bardzo rosprzestrzenione i prawie wyłączne zastosowanie w nauce, gdyż *mikroskopy złożone* były wówczas jeszcze tak złe, że daleko niżéj stały od prostych. Sławny Leuwenhoek dokonał wszystkich swoich cudownych mikroskopowych spostrzeżeń przy pomocy maleńkich kulek szklannych które sobie wyrabiał nad lampą, stapiając razem cieniutkie nitki szklanne. Dziś jednakże używają prostego mikroskopu tylko do słabych powiększeń, a do większych powszechnie posługują się, złożonym. Podczas kiedy ten ostatni bardzo umiarkowanie działa na oczy, pierwszy przy znaczniejszych powiększeniach wymaga tak mocnego natężenia wzroku, że prawie zawsze choroby oczów sprowadza.

(d. n.)

Na co najwięcéj zwracać należy uwagę przy kształceniu kobiet?

(Dokończenie).

A zatem — musimy trzymać się naszéj zasady — według której nie o to głównie starać się należy, ażeby dziewczętom wszystko lekkiem i przyjemnem uczynić — czyli jakby na talerzu gotowe im podać, ale przedewszystkim, by je *nauczyć myśleć*. Z tego właśnie względu lepiéj jest — żeby wykładem przedmiotów w szkołach żeńskich — zajmowali się mężczyzni, którzy sami głębiéj myślący, uczennicom też swoim — jasny i zdrowy pogląd na rzeczy dać potrafią. Na to trzeba zwrócić uwagę szczególniéj w dzisiejszych czasach, kiedy tak usilnie radzą nauczycielki umieszczać w szkołach żeńskich. Chociaż myśl ta ma swoją dobrą stronę — zawsze jednak sprawa gruntownego wykształcenia w ogóle na tem ucierpi. *Beneke* powiedział: że wykład nauk przez mężczyzn, jest w oświecie niewieściéj warunkiem wielkiéj doniosłości. Kobiety są pojętne — lecz wrażliwe i roztargnione; łatwo pojmują—ale też i łatwo zapominają, trzeba więc nadać pewien rodzaj tęgości władzom ich duchowym; a wtedy — chociażby nie zdołały w pierwszéj chwili głębiéj zastanowić się i odrazu pojąć oderwanych uwag i myśli — to jednak nie pozostaną istotami bezmyślnemi i powierzchownemi. Należy tu jeszcze wspomnieć o niektórych środkach, na jakie szkoły baczyć powinny — jeżeli chcą prawdziwie wyższe wykształcenie zapewnić swoim uczennicom. Oto każdy przedmiot naukowy traktować myśląco — i kazać dziewczętom jaknajwięcéj rozumować. Wszelkie powierzchowne i pamięciowe wpajanie nauki, bardzo szkodliwem jest dla postępu. Chłopiec prędzéj już zastanawia się sam z siebie— nie trzeba go zmuszać, dziewczęta rzadko— lub wcale — jeśli się ich nieprzyzwyczaja do myślenia. Dlategoteż już od klas najniższych — trzeba często podawać im sposobność do myślenia, zastanawiania się i objaśniania różnych przystępnych kwestyj. Można niekiedy wyznaczać nagrodę — za rozwiązanie jakiego trudnego pytania, (jakto między innemi robił autor téj książki); kazać dziecku opowiadać to, co przeczytało — i każdy wyraz należycie objaśnić. Późniéj, gdy przyjdzie do wykładu wyższych przedmiotów *np.* historyi powszechnéj, nauk przyrodzonych i innych — a myslenie uczennic już należycie wyćwiczonem będzie — wtedy powinien nauczyciel takie wybierać zdania, które zbijać potrzeba. Powinien je, że tak powiem, jakby po lodzie prowadzić, ażeby je umocnić w jasnem i prawdziwem zapatrywaniu się na rzeczy. Dziewczę też nie powinno wszystkiemu ślepo wierzyć, co mu podają, lecz starać się w każdéj rzeczy znaleźć dla niéj kamień probierczy, co je od tysiąca niebezpieczeństw ochroni. I wykład religii w szkołach żeńskich, nietylko rozbudzanie uczuciowości powinien mieć na celu — ale szczególniéj rozwijać głębsze myślenie. Nie powinien ograniczać się na czysto religijnéj materyi—ale zarazem rozwijać zasady wiary i moralności, ażeby same niejako wyrastały w umyśle dziecięcia — przez myślenie. Zasady pisma świętego stwierdzać należy przykładami z życia. Kiedym został wezwany do Lipskiéj wyższéj żeńskiéj szkoły imienia Teichmana — i zająłem się wykładem historyi świętéj w klasie IV-éj—wtedy wybierałem najbliższe wypadki z życia, kazałem zastanawiać się nad niemi — a za przewodnika doradcę i pocieszyciela — w każdem zdarzeniu — ukazywałem budujące przykłady z pisma S-go. Ten sposób zaszczepiania zasad pisma w sercach dzieci — zyskał tu wiele pochwał. I mnie się zdaje: że tym sposobem, prawdziwy związek, rzetelne zjednoczenie—prawdziwe wprowadzenie religii w życie, najpewniéj osiągnąć można. Oprócz myślącego traktowania przedmiotów naukowych, trzeba głównie zważać tu jeszcze na zadawane uczennicom ćwiczenia w klasach wyższych — starając się rozwijać w nich poczucie przyszłych obowiązków Jak sobie w tem radzić — wskazywać myślącemu nauczycielowi, byłoby zbytecznem.

Jeżeli wszakże chcemy utrwalić zdrowe myślenie dziewcząt, to i w chwilach wolnych, nie należy ich samym sobie z ich marzeniami pozostawiać: W szkołach wyższych dla doroslejszych dziewcząt — należy też zaprowadzić wyższe nauki — nie pomijając naturalne, zdrowego poglądu na kwestyje polityczne, społeczne, religijne, literackie i t. p.

Ale troszcząc się o te ozdoby niewieściego umysłu, nie zapominajmy i o innych przymiotach, które czynią niewiastę tak godną miłości i poszanowania. Mam tu na myśli — głębokie przejęcie się wszystkiem — co wielkie — dobre — i piękne — co stanowi prawdziwą religijność — bogactwo serca i myśli, poświęcenie się dla szczęścia drugich — bohaterską cierpliwość — gotowość służenia innym — to są prawdziwe niewieście klejnoty.

Zimno tylko rozważające i mędrkujące — zarozumiałe i gadatliwe sawantki—to są nieznośne indywidua, którym najlepiéj jest ustępować z drogi. Samo się przez się rozumie, iż w takich kobietach uczucie względne, a rozsądek nie do zazdrości; ale i te zyskują przez wyższe wykształcenie — ono je nawet i od przytoczonych wyżéj wad uchronić może. A czyż i prawdziwie religijne kobiety nie wpadają czasem w szał marzycielstwa? Czy innych znów nie obałamuca teatr, lub książki — dlatego właśnie, ponieważ im zbywa na zdrowym poglądzie na rzeczy? Tak— bezwątpienia!... Nawet praktyczny zmysł, jakiego domowe zajęcia wymagają — i ten wyrabia się tylko przez rozsądne myslenie i wielé ułatwień zdobywa. Słowem — wszystkie cnoty i przymioty niewieście — samo nawet jéj posłannictwo, wspanialszą postać przybiera, gdy je osłoni dyjadem jasnych myśli!

Dlatego raz już porzucić należy przekonanie: „Że mężczyzny przeznaczeniem jest tworzyć — a kobiety brać rzeczy gotowe." Czyż zawsze tylko bierną jéj stronę rozwijać mamy?

O! nie — nie zaniedbujmy kształcenia rozumu córek naszych. Bo jak słusznie mówi jedna z dzisiejszych autorek: „Harmonijne i prawdziwie ludzkie wykształcenie — tylko przez równowagę wszystkich sił umysłowych osiągniętem być może. A zatem do tego właśnie wychowanie dążyć powinno — ażeby wzmacniać stronę słabszą z natury: w chłopcach serce — w dziewczętach władze rozumu. Takie usiłowania — choćby najgorliwsze, nigdy do tego nie doprowadzą, żeby w nieczułym chłopcu — zbyt wiele uczucia rozbudzić, albo—jak się tego lękają, z dziewczęcia — zimno wyrachowaną — rozumującą wytworzyć istotę — ono zrównoważy tylko szalę, i uchroni od zbytecznego pochylenia się w jedną stronę."

Błogo domowi i rodzinie — którym przewodniczy rozumna i myśląca niewiasta! Przy jéj pomocy nie jeden spór się usunie — nie jedna niedorzeczność, w śmiech obrócona — zniknie. Gospodarstwo zakwitnie — wychowanie dzieci pomyślnie wyda owoce. Duchowy związek między małżonkami wzmocni się i ustali. Rozumnie pojęta emancypacyja zostanie osiągniętą, bo kobieta myśląca wraz z mężem brać będzie czynny udział we wszystkich wielkich zadaniach życia w odpowiednim dla niéj zakresie.

ZAPISKI
z podróży po Europie,

PRZEZ

J. Gordona.

(Ciąg dalszy).

III.

Szatynka w wagonie. Spotkanie w Heidelbergu.

Już nie pomnę miejsca, dnia, ani godziny dosyć, że działo się to, czyli raczéj miało początek na którejś ze stacyj między Lipskiem a Frankfurtem nad Menem.

Nudząc się samotnością pośród obcych wojażerów, zoczyłem tam był jejmościankę, która mię zainteresowała.

I ona siedziała sobie samotnie, jak milczący posążek, na złożonem futrze, ale dziwna rzecz! że drugie leciuchne futerko z pętlicami miała na sobie, choć dzień był wprawdzie nieco chłodnawy, lecz wcale nie mroźny.

Ha! noże jedzie z daleka, z pod strefy lodowatéj, z Petersburga lub Sztokolmu, i dla tego się wyfutrzyła. Zresztą, któż zgłębi gusta kobiece?....

Tak rozumując, nie spuszczałem wzroku z pasażerki, a gdy w dzwon uderzono, poszedłem za nią do wagonu i usiadłszy naprzeciw, zajrzałem jéj w oczy—miała ciemne, przenikające, gęstemi okryte rzęsami.

Oprócz tego zgrabny był owal jéj twarzy i dowcip igrał na koralowych ustach. Z pod kapelusza spadało w nieładzie kilka splotów tęgiego ciemno-blond futerka. Przytem kibić miała proporcyjonalną, nie tłustą, nie chudą, cerę jednostajną, poruszające się nozdrza i trochę zadarty nosek.

Trzeba dodać: i na rękach dołeczki.

Otóż zdjęła mię ochota... być grzecznym dla nieznajoméj.

Tylko dwóch Anglików, sąsiadów, mi bruździło. Ich oczy blado-niebieskie, zimne, nieubłagane, zuchwałe, utkwione w nas jak dwa sztylety, śledzące za najmniejszym ruchem, gniewały mię i niepokoiły.

Niecnoty ośmielili się nawet przypinać mi łatki, a moją damę garnirować. I tak:

Rodowłosy. Nie szpetna.

Chuderlawy (z powagą). Yes, sir!

Rudowłosy. Apetyczna.

Chuderlawy (tonem powątpiewania). Yes.

Rudowłosy. Uprzedził nas.

Chuderlawy. Ooo! yes!

Rudowłosy. Patrzaj na jego ślepia... lubuje się jéj warkoczami, bo sam łysy.

Chuderlawy. Ale dyjabełki ślizgają mu się po łysinie.

Rudowłosy. Ha, ha!.. hi, hi!.. hu, hu!.. uf!.. Yes!

Chuderlawy. Jak ruszy, to się posuń na jego miejsce.

Rudowłosy (z zapytaniem). Yes?

Chuderlawy (z potwierdzeniem). Yes!

Obydwaj (spoglądając na nieznajomą). Yes!!

Bodajeście popękali nudziarze z waszem *yes*—pomyślałem—a ciemnooka uśmiechnęła się, zabawiona chorałem Anglików.

— Czy pani uwierzy — ozwałem się po francuzku, korzystając z okoliczności—że oni na nas spisek knują, ci pocieszni przedstawiciele splenowego Albionu?

— Doprawdy?

— Najniezawodniéj!.. A jakkolwiek pewien jestem, że wdzięki pani nie są narażone na niebezpieczeństwo w obec tych oryginałów z porcelanowemi oczyma, wszelakoż...

— Co wszelakoż?.. proszę dokończyć!— rzekła słabą francuzczyzną.

— Wszelakoż.. nazwałbym się szczęśliwym, gdyby mię pani przyjęła za swego *cavalier-servant* podczas podróży.

Uśmiechnęła się figlarnie, przyzwalająco, ja zaś potoczyłem wzrokiem dumnie po Anglikach, i zawiązałem z córeczką Ewy bliższą gawędkę.

I pokazało się, że nieznajoma była Krakowianką, zdążającą do Paryża, gdzie miała krewnych... możnych obywateli; lecz po drodze winna była zatrzymać się na pewien czas w Heidelbergu.

Aby nie być podsłuchiwanemi, głośna nasza rozmowa zamieniła się w cichszą i postanowiliśmy po drodze zatrzymać się w Fuldzie, arcykatolickiem mieście, dla nasycenia się widokiem czarownéj okolicy.

Uradowany, zmieniam francuzką mowę na rodzinną, w celu tem żywszego podziękowania krakowiance za przypuszczenie mię do swego towarzystwa.

Lecz cóż to jest?.. Moja ziemianka oblała się szkarłatem i wyraz źle utajonego oburzenia zawisł w jéj źrenicach.

— Pan Polak?—zawołała z uniesieniem — a czyż się to godziło... i t. d, i t. d.

Zrazu zdało mi się, że ta kobieta miewa zajączki. Począłem się jéj przyglądać, łagodnie pocieszać, ani przypuszczając, że ponieważ miałem nieszczęście urodzić się Polakiem, a nie Francuzem, to mogło mię zdyskredytować w jéj przekonaniu.

Ofiarowałem jéj moją kartę wizytową.

Spojrzała na nią z niechcenia i włożyła do torbeczki, ale nic to wszystko nie pomogło. Odtąd przybrała minę mniszki, i okazało się, że straciłem najzupełniéj łaskę, owoc długiego zabiegu i pracy.

Kocioł ryknął i parę wyrzucać zaczął, pociąg zwolnił biegu na żelaznych szynach, nareszcie zatrzymał się.

— Śmiem przypomnieć o umówionéj Fuldzie — rzekłem — przybyliśmy do niéj.

— O! nic z tego — odpwiedziała — zmieniłam zamiar i jadę wprost do Heidelberga.

— Szczęśliwéj zatem podróży! — zawołałem, opuszczając wagon. Proszę się nie obawiać — obiecuję zachować na przyszłość względem znajomości naszéj *incognito* maskowego balu.. najuroczyściéj obiecuję.

Miejsce moje przy krakowiance zajęła służąca przywołana przez swą panią z wagonu trzeciéj klasy — pociąg ruszył daléj.

Za kilka dopiero godzin, po zwiedzeniu w Fuldzie klasztoru OO. Bernadynów, otoczonego stacyjami Kalwaryi na malowniczéj górze, panującéj nad całym krajobrazem, powróciwszy na kolej, następnym pociągiem puściłem się w dalszą drogę, nie przewidując, iż się jeszcze z nieznajomą spotkam.

Cóż to znowu za romantyczna dolina pomiędzy górami? Wśród doliny płynie Nekara. Z jéj wybrzeża białe domki jak łabędzie przeglądają się w wód zwierciadle — to Heidelberg.

Na górach rozpina się wdzięcznie winna latorośl, u ich stóp słaniają się obłoczki, a na wierzchu wyglądają z winnic majestatyczne zwaliska słynnego zamku, łudzącego oko ogromem, porozrywanemi murami, na których rosną drzewa i powoje.

Czarowny krajobraz! Brakuje mu tylko ramek.

Zwróciłem ku niemu kroki, stając co chwila i oglądając się do koła; potem szedłem niezmiernie długo, jedyną ulicą starożytnego miasta, ciągnącą się w podłuż rzeki. gdzie napotkałem gromadkę studentów w ponsowych czapeczkach, którzy wskazali mi grzecznie najbliższą do zwalisk drogę.

Nie ujrzałem nigdzie, jak w innych miastach niemieckich, żadnego żołnierza, żadnego policyanta; Heidelberg w sobie miły i schludny, zdał mi się być przybytkiem spokoju, cichéj pracy i łatwego bytu. Mnóstwo cudzoziemców, szczególniéj Rosyjan, tudzież Anglików i starych emerytów z całego świata zjeżdża tam na mieszkanie.

Przebywszy nakoniec ulicę, gotując się do wstąpienia pod niebiosa, spostrzegłem pod górą na placówce osiołków z damskiemi siodełkami. Stojący przy nich przewodnik usiłuje jednego okiełznać, pakując mu gwałtem do pyska uzdeczkę. Drugi tymczasem już okulbaczony, z zadartym do góry łbem, ryczy przeraźliwie.

Dwie chude Angielki przypatrują się z uśmiechem téj scenie sielankowéj.

Daléj na stronie kilku studentów w niebieskich kaszkiecikach fechtuje się na rapiry.

Wznoszę się na wyżynę.

Jakiż to zachwycający widok! Dworki i wioski rozrzucone na widnokręgu, het! daleko... Nademną błękitne niebiosa, a w niebiosach czarnego ptastwa stado zatacza pierścienie żałobne. Drzewa i krzaki okoliczne szumią jak harfa eolska—szumią, przestają, nareszcie całkiem ucichły.

Ale otóż i wkroczyłem na pierwszy dziedziniec zamkowy. Na wstępie obaczyłem na cyplu o wyszczerbionych ścianach rudery, jakiegoś człowieka... istny duch z tradycyjnej baśni!

Zaledwie zacząłem się rozpatrywać w otaczających murach, starając się wydobyć jakiś pokarm dla wiedzy z téj kamiennéj historyi, spoczywającéj pod kotarą z odwiecznych mchów i bluszczów uwitą, zjawiła się dziewica o kruczych włosach, córka jakiegoś zmarłego pułkownika niemieckiego, uprzywilejowana cyceronka zwalisk heidelbergskich, mająca pęk kluczów u pasa i latarkę w ręku.

Jednocześnie nadjechały też na osiołkach obie córy Albionu. I nuż razem chodzić po zakrętach zamczyska, ciemnych galeryjach, podziemnych korytarzach, słuchając długich wywodów cyceronki!

Byłem jak na niemieckiem kazaniu, nierozumiejąc dobrze jéj rodzinnego języka. Zauważyłem atoli, że ów Dyogenes kobiecy, ukazując nam zbrojownie feodalnych baronów, zapadłą basztę w gruzach, gdzie niedyś głodem morzono i głodową śmiercią umierać kazano, miał dużo poetycznego usposobienia.

Jakże tam Niemcy dbają o zachowanie ruin! Przytem czystość oraz porządek i kamienie w różnych miejscach świeżo pościągane żelaznemi klamrami, świadczą, jak im idzie o zachowanie pamiątek przeszłości.

Pod tym względem za wzór do naśladowania służyć oni mogą.

I nie nudzi się też pani — rzekłem po francuzku, zwracając się do cyceronki — w tych opuszczonych, omszałych rumowiskach, gdzie każdy głaz zdaje się ze smutkiem przemawiać o znikomościach doczesnych i o nędzy ludzkiéj.

— Nie zaiste — odpowiedziała z uśmiechem — ja przenoszę piękną ruinę nad ladajaką budowę.

Nareszcie po niejakim czasie panna cyceronka coś zagadała o dwudziestu krajcarach, zakręcając ogromnym kluczem w pokrytych rdzą drzwiach, obitych blachą, a wiodących do lochu rudery. Domyśliłem się, że przymówiła się ona do osobnéj zapłaty za pokazanie ciekawości ukrytéj pod sklepieniem.

Weszliśmy tam nakoniec.

Proszę sobie wyobrazić ustawioną na środku piwnicy bęczkę na ligarach, olbrzymią beczkę, ozdobioną rzeźbą, z podłogą na wierzchu, otoczoną baryjerami. Po schodkach tam wnijść można i wygodnie tańczyć w cztery pary kadryla.

Stuknąłem do dna beczki, zadźwięczała głośno, jak każde naczynie próżne, nie przymierzając jak i głowa pusta. Podobną, tylko znacznie mniejszą kufę widziałem w podziemiu ratusza w Bremen, z tą różnicą, że ta ostatnia jest napełniona winem reńskiem klarującem się w niéj od lat stu piędziesięciu. I gdyby Niemcy nie mieli nagannego zwyczaju dolewania bremeńskiéj beczki młodym cienkuszem, w miarę jak upiją wytrawnego nektaru, byłoby to winko doprawdy wyśmienite.

Rozstając się ze zwaliskami, spójrzałem po raz ostatni na zapadłą i wywróconą w głębi fosy wieżycę, gdzie tyle gnębionych i zaprzepaszczonych w średnich wiekach ofiar cierpiało tortury i katusze — jakoteż na beczkę, z któréj się raczyli truneczkiem możni hercogowie heidelbergscy.

I mimowolnie nasunęła mi się myśl o owem nicestwie, z którego naprożno samolubstwo i pycha wydobyć się usiłuje.

Wszak ze słynnéj beczki nie jeden z średniowiecznych satrapów zaczerpnął czarę wesela, zerknął na lenników pancerne hufce,

Łyknął,
Krzyknął,
Wywrócił oczyma,
I już go nie ma.

(*d. c. n.*)

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Prawo postępu, Studyjum przyrodniczo-społeczne przez *Ludwika Masłowskiego*. Kraków 1872. str. 205.

Zastanowiwszy się po krótce nad ważnością postępu i zastrzegłszy, że reakcyją t. j. „odnowienie rzeczy przeżytych, odtworzenie przeszłości w kształtach teraźniejszych" uwa-

ża za rzecz niemożliwą, przechodzi autor w I rozdziale do wykazania, że starożytność nie rozumiała co to jest postęp, nie przypuszczała nawet „by istniały jakie kolejne przemiany w rozwoju umysłowym ludzkości" (str. 13), przemiany zależne od jakichś niezłomnych praw, i dlatego spotykające się od czasu do czasu w życiu narodów przypisywała *wpływom pojedynczych jednostek*. Takie wyobrażenia miał politeizm. Filozofija monoteistyczna (termin autora) przypuszcza już *pewną stałość* w objawach przyrody, które zależą według niej, od przedwiecznie zakreślonych *praw wszechmocnego Stwórcy*. „Wszystkie wypadki dziejowe, podług tej teoryi, odbywały się w określonym szeregu; z oznaczoną doniosłością i służyły jako przygotowawcze stopnie do najwyraźniejszego faktu historycznego—do *odkupienia moralnego ludzkości*" (18). Tak między innemi pojmował historyją i postęp *Bossuet*. Przygotowanie się ludzkości do powtórnego przyjścia Mesyjasza — oto cel usiłowań na przyszłość. Filozofija krytyczna wreszcie XVIII wieku burzyła wszystko, nic nie stawiając natomiast, umiała tłomaczyć niektóre fakta strupieszałości; ale nie potrafiła wyjaśnić dlaczego ta strupieszałość istniała. W tymże rozdziale rozbiera pojęcie społeczeństwa, jakie się wyrobiło pod wpływem trzech owych poglądów (politeizmu, monoteizmu i filozofii krytycznej). W rozdziale II rozwija teoryją *Augusta Comte'a* i na niéj buduje pojęcie postępu. Opiera się on tu na zdaniu, „że jak czyny każdego człowieka *są zależne od jego poglądów*, tak też czyny całego społeczeństwa, będąc kombinacyją działalności pojedynczych, są w prostym stosunku do panujących pojęć. Opisywać zatem historyją poglądów spekulacyjnych ludzkości jest tem samém, co opisywać dzieje jéj urządzeń." (62,3). Stąd też p. M. podaje klassyfikacyją nauk, dokonaną przez Comte'a i opisuje obszernie owe trzy stany (teologiczny, metafizyczny i pozytywny), przez jakie ludzkość przechodzić musiała w badaniu wszystkich rzeczy. Nie wchodzimy tu w rozbiór owej klasyfikacyi, nie badamy, czy ona jest zupełna, czy nie; bo to wymagałoby zbyt obszernego rozwiedzenia się nad ubocznemi przedmiotami, zwrócimy tylko uwagę na samą zasadę pojęcia postępu, jaką p. M. postawił. Czyny człowieka zależą od jego poglądów, powiada; w tem jest tylko część prawdy t. j. o ile te poglądy zgadzają się z popędami, którym człowiek ulega; zatem zachodzić tu mogą przenajróżniejsze kombinacyje wypełniające całę działalność człowieka. Powtóre człowiek musi żyć i działać zanim wyrobi sobie jakieś filozoficzne zasady; większość nawet najzupełniej się bez nich obchodzi. Poglądy filozoficzne powstają w pewnéj dobie rozwiniętego życia umysłowego, a do tego przecież czasu ludzie istnieli; dbali naprzód o zaspokojenie potrzeb najnaglejszych, potem o sprawienie sobie przyjemności fizycznéj a dopiero następnie, kiedy umysł mógł swobodnie działalność swoją rozwinąć, oddano się spekulacyi filozoficznéj i wyrabianiu poglądów. Historyja więc filozofii będzie tylko dziejami rozwoju umysłowości ludzkiéj, ale niecałego społeczeństwa we wszystkich formach jego bytu. Rzecz oczywista, że nauka, że filozofija może postawić jakiś postulat, którego urzeczywistnienie może przypaść po wielu wiekach i po wielu dziesiątkach wieków nawet; jak naodwrót może coś praktykować w życiu co bardzo długo czekać będzie na naukowe uzasadnienie. Jestto więc formułka, o wiele lepsza może od Heglowskiej teoryi dyjalektycznego twierdzenia i przeczenia. ale nie obejmująca w sobie wszystkich form życia i działania ludzkiego a zatem nie dającą nam wcale prawa postępu. Zrobiwszy to zastrzeżenie możemy pójść dalej. Formułę ową postępu stosuje autor do rozwoju pojęć prawdy piękna i dobra i wykazuje, że wszędzie istnieje stopniowe doskonalenie się. W szczególności powstał p. M. i bardzo słusznie przeciw dosyć upowszechnionemu mniemaniu, że w utworach piękna starożytność jest wzorem niedoścignionym. Nie postawił atoli dostatecznych dowodów, co wypłynęło zapewne z téj myśli autora, że „pozytywnego piękna nie mamy jeszcze wcale", (129). W instytucyjach społecznych widzi p. M. również przechodzenie ze stanu teologicznego w metafizyczny a następnie w pozytywny, oparty na niezmiennnych prawach przyrodniczych na mocy rozwoju sztuki społecznej. Ponieważ są to tylko gołosłowne twierdzenia nie poparte faktami z dziejów, musimy je więc bez rozbioru zostawić. W rozdziale III rozbiera p. M. pytanie, dlaczego społeczeństwo postępowało naprzód? To mu daje powód do przedstawienia w skróceniu *teoryi Darwina* a mianowicie *walki o byt* i *wyboru naturalnego*. Człowiek zdolniejszy, rozumniejszy, w zapasach o uzyskanie środków pożywienia stawał się zwycięzcą a zatem większą miał możność założenia ogniska rodzinnego i przekazania potomstwu dodatnich swych zalet. Przeciwnie zaś człowiek głupi, niezdatny, ginął z głodu i nędzy, a jeżeli miał dzieci, to obdarzał je spadkiem chorób i niedoli, które stawały się niebawem przyczyną ich zagłady. Jeżeli zaś zdarzają się wypadki zupełnie innego stanu rzeczy jak np. niedołężni władcy, którym mądrzy muszą być posłuszni, to stanowią oni wyjątki, których przyczyną są rozmaite urządzenia polityczne i społeczne; gdy tymczasem masy ulegają z konieczności prawom powyższym. Pozostają więc przy życiu *coraz lepsze* jednostki; coraz zdolniejsze i to nam tłumaczy *dlaczego ustawiczny postęp istnieje*. Wreszcie w rozdziale IV rozbiera trzy pytania: 1-o. Dla czego ludzkość wstecz się cofać nie może? 2-o. Jaka jest chyżość rozwoju spekulacyjnego ludzkości i 3-o czem się różnią objawy społeczne od objawów bijologicznych? Na to ostatnie pytanie nie można jeszcze dać odpowiedzi, bo dotąd nie zastosowano do dynamiki społecznéj matematycznych praw ruchu. Bijologię od socyjologii odgraniczyć ściśle nie podobna, wszakże możnaby postawić zdanie, że tam gdzie się zaczyna tradycyja, i gdzie *altruizm* dostatecznie został ugruntowany, bijologia zamyka swe podwoje tradycyja również jest przyczyną, że ludzkość wstecz cofać się nie może, gdyż jest skarbnicą wiedzy raz zdobytej którą przechowuje i przekazuje w najdalsze pokolenia. Tylko stada nie mają tradycyi, ale każde społeczeństwo mieć ją musi, bo nie wiedząc co zrobiło wczoraj, nie mogłoby ani na krok dalej postąpić jutro. Czwartemu temu rozdziałowi nie wiele mamy do zarzucenia. oprócz chyba tej koniecznej uwagi, ze filozofija pozytywna jest *ostatnim całokształtem* wiedzy ludzkiej, *po za który* umysł nasz i przy jego teraźniejszéj organizacyi *przekroczyć nigdy nie zdoła*" (203). Jest to twierdzenie wcale nie pozytywne, bo o rzeczach, których zaobserwować ani doświadczyć nie można, pozytywista nic nie orzeka. Jako *całokształt* pozytywizm nie jest bez wad, które już *teraz* mu wytykają: bijologija np. od czasu Comte'a znakomicie już postąpiła i nie może się zmieścić w jego ramki. Tak samo i w wielu innych kwestyjach. A powtóre trudno się zgodzić, żeby w ludach nie było pewnego cofania się a przynajmniéj zastoju. Wprawdzie autor przykład *Chin* odrzuca jako mylne twierdzenie, jednakże żadnego na to nie przytacza dowodu. Nam się zdaje, że teoryja walki o byt i wyboru naturalnego, którą o ile wiemy, p. M. pierwszy do kwestyi postępu zastosował, tłumaczy ten zastój. Gdzie warunki zewnętrzne są wygodne, gdzie pożywienia nie trzeba zdobywać pracą, bo go natura obficie dostarcza bez żadnego zachodu, lub też gdzie są tak nieprzyjazne stosunki klimatyczne, że o żadnéj wyższéj umysłowéj pracy mowy być nie może, tam postęp jest bardzo powolny, obliczający się na setki tysięcy lat, a zatem nawet postępem we właściwem znaczeniu wyrazu nazwanym być nie może. Przykład Chin jak dotąd przynajmniéj, zachowuje całą swą siłę.— Pomimo tych wad. któreśmy tu wskazali, i pewnéj niepoprawności językowej, któréj dość liczne możnaby przytoczyć dowody, książka p. M. zasobna jest w myśli i chociaż nie daje odpowiedzi na wszystkie postawione pytania a nawet na zasadnicze t. j. *na czem polega postęp*;--pobudza jeduak do myślenia nasuwa wiele poglądów, stosuje teoryją Darwina podług nas bardzo szczęśliwie, do kwestyi postępu: z tych więc względów warta jest czytania.

P. Ch.

ZAGADNIENIA.

Zagadnienie VII. Ośm osób gra w *sąsiada*. Jedna z nich oświadcza, że pozostanie w kole dopóty, dopóki siedm pozostałych nie wykonają wszelkich możliwych przemian miejsc, siadając w różnym porządku. Zachodzi pytanie czy osoba stojąca w środku, może dotrzymać słowa—i dla czego tak lub nie?—przypuszczając, że każda zmiana trwa 2 minuty i że za każdą razą całe towarzystwo zmienia miejsca.

Odpowiedzi od Redakcyi.

— *Panu M. D. S. w gub. Kowieńskiéj.* Nadesłane wiersze odznaczają się gładkością stylu i prostotą ale tematy zbyt powszednie i nie budzą żadnego zajęcia. Obok tego jest w nich kilka usterków językowych, które zakreśliliśmy na odesłanym panu rękopiśmie. Co do prac o których pan wspominasz nie możemy przesądzać. Nie wiemy co zawiera rękopism „Wieki człowieka"—sądzimy nawet, że wyraz *wieki* jest niewłaściwie użyty. Wiersz do *kochanki* — może być dobry—ale publiczność nasza nie lubi rzeczy sentymentalnych. Tłómaczenie z Byrona jeżeli stanowi pewną całość i jeżeli jest rzeczywiście „wyborne" mogłoby się przydać Co do innych rękopismów prosimy o wskazanie tytułów i treści. Zresztą jeśli pan zechcesz nadesłać niektóre z nich prosimy o wybranie tylko tych, które pan sam uważasz za najlepsze.

— *Panu Korjanowi.* Trud stracony, łaskawy panie. Wiersze, któreś nam przysłał jako *swoje*, znamy bardzo dobrze, bo są pióra *Wasilewskiego*, *Antoniewicza* itd. Darujesz więc pan, że tę jego młodzieniaszkowatą płochość tylko tak krótką odpowiedzią zmonitujemy. Przepisany rękopism możesz pan odebrać w Redakcyi.

Życzliwéj prenumeratorce M. Nadesłany nam obrazek pomimo udatnéj jego formy i zacnéj tendencyi nie przedstawia w znaczeniu literackiem dość interesu. W każdym razie oceniając dodatnie strony pióra pani prosimy o dalsze prace z silniejszem ożywieniem akcyi.

Дозволено Цензурою.—W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

Patrz Dodatek.